# KAZIMIERZ IWASZKO
# ur. 1950; Łyniew

| | |
|---|---|
| **Tytuł fragmentu relacji** | Nigdy nie przyszli pod nasz adres domowy |
| **Zakres terytorialny i czasowy** | Gdynia; po 1944 roku |
| **Słowa kluczowe** | opozycja, powielacz |

## Nigdy nie przyszli pod nasz adres domowy

W Gdyni jeszcze długo nie pracowałem. A śmiesznostki z szukania mnie w Gdyni były takie, że myśmy w pewnym momencie w Gdyni dostali mieszkanie, w spółdzielni mieszkaniowej. I ja taktycznie w tym mieszkaniu-jak już tam trzeba było się zameldować - nie zameldowałem się, czyli widniała tylko moja żona i syn. I czy to miało jakieś znaczenie, że przed tym ujawnieniem jeszcze, nachodzili na przykład dyrektora szkoły, w której moja żona pracowała, pytając: czy ja nie przychodzę po żonę po robocie do domu ją odprowadzić. O takie rzeczy. A nigdy nie przyszli pod adres nasz domowy, gdzie ja w zasadzie codziennie siedziałem jako bezrobotny. Specjalnie się nawet z tego domu nigdzie nie ruszałem, a zwłaszcza w dzień, żeby tam sąsiedzi nie widzieli itd., więc można by, to zilustrować jako ich nieporadność. A może celowo tego nie robili?- nie wiem.

Epizod późniejszy z ubekami, to był taki, że kiedy dostałem tę robotę jako instruktor teatralny w Pałacu Młodzieży, że podobno - to okazało się po latach- przychodzili, co jakiś czas do mojego szefa, dyrektora tego Pałacu Młodzieży, pytać jak ja się tu sprawuję. A nigdy nie przyszli do mnie, żeby zobaczyć mnie, z kim ja tam pracuję, jaka młodzież. Nigdy. Nic takiego nie było. A mój dramat w tym Pałacu Młodzieży polegał na tym, że ja wiedziałem, że do tego dyrektora, swojego szefa, zaufania mieć nie mogę. Aczkolwiek on mnie zatrudnił z „wilczym biletem" po Lublinie, to jest fakt. Przy czym zrobił to w ramach pewnych rewanżów dla mojego teścia, nie dla mnie jako tam „bidnego" człowieka, to też muszę jasno powiedzieć. Ryszard Gołuński, ja mu to mogę powiedzieć w twarz, jak on zechce sobie przypisywać jakieś tam zasługi dla poszkodowanych w stanie wojennym.

W Londynie był taki Tadeusz Jarski, który działał w komitecie „Solidarity with „Solidarność"", gdzie zbierali pieniądze, różną pomoc tutaj dla podziemia. I on się dowiedział, gdzie ja pracuję. A ja się z nim bardzo dobrze znałem z jednego wyjazdu do Londynu w 1981 roku, gdzie tam jakimiś karteczkami wymieniliśmy sobie pozdrowienia i na tym się wszystko skończyło. Aż pewnego dnia do Pałacu Młodzieży przychodzi człowiek, który przynosi mi do tej pracowni, gdzie ja z młodzieżą miałem pracować, potężną paczkę, karton taki i wstawia ją za drzwi, i wychodzi. Ja biorę karton, który waży, nie wiem- 30 kilo, posuwam na bok, a w kartonie jest włożona

karteczka, że są tam materiały od Tadeusza Jarskiego. Koniec. Kropka. Rozrywam sznurek, a tam jest na przykład cały karton książek. Trefny całkowicie towar. Oczywiście jakoś tam sobie poradziłem. Pamiętam do takiego kolegi to zawiozłem, bałem się do domu wieźć. No i myślałem, że to jest jednorazowy jakiś taki incydent, a to się odbywało jeszcze, nie wiem-5 może 10 razy, z pewną regularnością. Co się okazało? Że Jarski się dowiedział w Londynie, że ja jestem w Gdyni, a wtedy, co miesiąc z Gdyni do Liverpoolu pływał taki statek - oni to nazywają tramwaj- polega to na tym, że towar się wiezie z Gdyni, on tam rozładowuje, bierze stamtąd. Ciągle w te samą stronę. I Jarski za pieniądze przekupywał marynarzy, którzy dostawali trefny towar w Londynie, na statku go wsadzali w różne dziury i później po cichu, jak już celnicy zeszli w Gdyni, składali to do kupy i przynosili do Kazika Iwaszko, do pracy!

To jako przykład pewnej głupiej „konspiry". Najpierw ten marynarz, którego ja nie znałem, młody człowiek, musiał na I piętro w tym Pałacu to wnieść. Po drodze portiernia, mój szef, no masę ludzi, dzieci, a później ja muszę to za chwilę, no za godzinę wynieść! Nie miałem żadnego samochodu wtedy! Ja trolejbusem wiozłem te paczki, jak musiałem gdzieś dalej. Ale to jest pikuś! W Gdyni przeżyłem większy dramat. Pewnego razu, już mieliśmy chyba dwoje dzieci, a to jest już rok chyba rok już 1984. Pewnego dnia wracamy późno do domu, do tego mieszkania na parterze, a przed naszym mieszkaniem stoją trzy plecaki. Widzimy, że nie są to plecaki polskie, bo wtedy takich stelaży nie było. Sąsiadka akurat słyszy, że my chcemy wejść do domu otwiera drzwi, mówi: „Słuchajcie, tu gdzieś od południa jacyś zagraniczni młodzi ludzie was szukają. Nie doczekali się was, zostawili plecaki, chyba sobie poszli gdzieś na miasto". No i tyle nam sąsiadka powiedziała. Ja wziąłem tam dzieci szybko umyłem do spania, te plecaki wstawiłem do przedpokoju i tylko w zasadzie te dzieci jakoś położyliśmy spać, rzeczywiście przychodzi trójka: dwie dziewczyny i chłopiec. Trzy plecaki, dwie dziewczyny. Duńczycy.

A polegało to na tym, że z Wrocławia taki działacz teatralny-Lubowiecki, w stanie wojennym uciekł czy wyemigrował do Danii i się dowiedział, że ja jestem w Gdyni, i tych troje ludzi, to jak się okazuje- za chwilę ich zapraszamy do środka, jeszcze nie wiemy, co te plecaki...Aha, wiedziałem tylko, że te trzy plecaki są cholernie ciężkie jak je wstawiałem, jak kamienie. Siadamy tam chwilę, po angielsku z nimi rozmawiamy. Co się okazuje? Oni są pacyfistami duńskimi, którzy od Lubowieckiego tam nazbierali pieniędzy i w tych trzech plecakach to jest drukarnia. Oni wiozą dla regionu Mazowsze, a przeze mnie, bo tylko mnie znają. Oni przyjechali promem z Ystad w Szwecji, z Danii do Ystad przepłynęli, z Ystad do Świnoujścia i ze Świnoujścia ich taksówkarz przywiózł do Gdyni. I te plecaki taksówkarz musiał wstawić. Czuł, jaki ciężar. Oczywiście, nie wiedział w szczegółach, co to jest! Ale „konspira" żadna. I teraz mój dramat jak zasnąć. Ja następnego dnia mam ich do regionu Mazowsze zawieść, do jakiego regionu Mazowsze, ja nie znam żadnego regionu Mazowsze, ja w Gdyni opiekuje się dziećmi i patrzę jak przeżyć z dnia na dzień. Nie jestem żadnym działaczem. Do jakiego regionu Mazowsze? Ja mówię do nich: słuchajcie, to jest niemożliwe, do żadnego regionu Mazowsze, ja z wami do Warszawy nie pojadę. Ja nie wiem, coś zacznę kombinować.

No oni poszli spać, a ja w tym czasie dzwonię do takiego Leszka Niedałtowskiego z dawnego Teatru Jedynka, mówię: „Leszek, szybko przyjedź, ty masz samochód. Umówimy się w Gdyni na dworcu, ja muszę z tobą pogadać. Musisz mi pomóc, mam straszny kłopot." Przez telefon nie mogę mu szczegółów powiedzieć. Leszek miał czas, przyjechał rzeczywiście. Mówię: „Lechu, jutro muszę zawieźć tę drukarnię z tych trzech plecaków do Brygidy, do Jankowskiego. Oni chcą do Mazowsza. Ja nie znam żadnego Mazowsza. Zdeponujemy to do Brygidy. Niech się dzieje, co chce. Ja uważam, że to jest jedyne, co możemy zrobić. Czy ty masz „wtykę" u Jankowskiego, żeby Jankowski nas wpuścił z tymi plecakami?" Dobra- jego brat jest księdzem - zadzwonię do

ciebie po północy, wracam do domu, pojadę do Jankowskiego, tam po znajomych popytam. I rzeczywiście, po północy Leszek mówi: „Dobra jutro o przed sumą - suma jest o 11- macie być o 10 na plebani u Jankowskiego z tymi plecakami”. Ale już nie chce mi samochodu dać.

Ja biorę dwoje małych dzieci - miałem malutkie dzieci - jako pewną obstawę taką psychologiczną, oni plecaki na plecy i jedziemy kolejką, pociągiem, normalnie do Jankowskiego. Biorę te dzieci, że gdyby namierzyli nas szpicle. Raz Borys mnie uratował w takiej manifestacji w Gdańsku. Jako małe dziecko chwycił się moich nóg i zomowcy ciągnęli mnie w jedną, a moje małe dziecko, w drugą stronę. I mnie puścili. I zawsze uważałem, że to dziecko mnie uratowało, jak bym był sam, to by ciągnęli. I zajechaliśmy do Brygidy i było piękne spotkanie najpierw, godzinę przed tą sumą. Przyszedł Wałęsa nawet wtedy, który zachował się makabrycznie na tym spotkaniu. Ja siedziałem z boku jako tam listonosz w całej sprawie. Ci Duńczycy: te dwie dziewczyny i ten Duńczyk byli.

To był rok 1984 może 1985. Piękne spotkanie z Jankowskim. Nie wiedziałem, że on pięknie mówi po niemiecku, bo Duńczycy po niemiecku też mówili. Tak, że bez tłumacza sobie pięknie poradzili. A Wałęsa się zachował jak kanalia, ponieważ jak Wałęsie Jankowski przetłumaczył, co to w tych plecakach, kto to jest, skąd, to Wałęsa powiedział: „ A po co oni się angażują! To całe gówno! Wielka drukarnia! To się tym nie wygrywa wojny!” Tak ich skwitował, tak im podziękował, a przede wszystkim dla mnie - za mój strach. I jeszcze tam zażyczył sobie od gospodyni Jankowskiego kawę i tylko sobie wziął tą kawę, a Duńczycy nawet nie dostali tej kawy, bo ja to już się w ogóle nie liczyłem, siedziałem sobie z boku. Później poszliśmy na sumę. Duńczycy, choć niewierzący, poszli na sumę. Wyjechali do Danii z wielkim triumfem. Wielka misja została przez nich spełniona. Dostarczyli, co prawda nie do Mazowsza, jakie mieli ambicje, ale tu. I byli na wielkiej mszy, bo w życiu chyba w kościele nie byli, a wtedy były to czasy, kiedy tłumy w Brygidzie były, kiedy tam zawsze te palce szły. Była jeszcze ta atmosfera rewolucyjna. A oni tego nigdzie nie przeżyli. No i tak się skończyła misja.

| | |
|---|---|
| Data i miejsce nagrania | 2005-04-15, Lublin |
| Rozmawiał/a | Tomasz Czajkowski, Mariusz Kamiński |
| Transkrypcja | Urszula Gorzelak |
| Prawa | Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN" |